

Pięćdziesiąt twarzy Adolfa

28 listopada 2014

Prezydent Rosji jest bezwzględny, cynicznym autokratą, który ma na sumieniu łamanie praw człowieka i brutalną politykę wobec Ukrainy, ale porównywanie go do Adolfa Hitlera jest tanim populizmem. I niepotrzebnie zwiększa napięcie między Wschodem a Zachodem.

Premier Wielkiej Brytanii David Cameron – jak na jastrzębia, za którego chce uchodzić, przystało – poszybował wysoko. Tuż przed zeszłotygodniowym szczytem najbogatszych państw świata G-20, zorganizowanym w australijskim Brisbane, postanowił podnieść polityczną temperaturę i porównał Federację Rosyjską do nazistowskich Niemiec. Znowu. Podobnych analogii użył już we wrześniu podczas spotkania liderów Unii Europejskiej w Brukseli. Wówczas jednak mówił to za zamkniętymi drzwiami, a jego słowa dobiegły do uszu opinii publicznej dzięki przeciekom i źródłom „La Repubblica”. Włoski dziennik dość obszernie zrelacjonował „tajną” naradę przywódców Unii, co może świadczyć o tym, że był to tzw. kontrolowany przeciek. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że po publikacji 10 Downing Street nie zdecydowała się na oficjalne dementi. Pozwoliło to brytyjskiemu rządowi z jednej strony na zademonstrowanie światowej opinii publicznej determinacji i zaangażowania premiera, a z drugiej na uchylenie się od politycznej odpowiedzialności za ostre słowa i uniknięcie dyplomatycznych ataków ze strony rosyjskich polityków.

Tym razem David Cameron użył mocnych porównań oficjalnie. Podczas wystąpienia przed australijskim parlamentem stwierdził, że „rosyjskie działania na Ukrainie są nie do przyjęcia. Musimy postawić sprawę jasno: mamy do czynienia z napaścią większego państwa na mniejszy, europejski kraj (...) Historia pokazała już, do czego prowadzą takie działania. Powinniśmy uczyć się na błędach przeszłości i zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby sytuacja się nie powtórzyła”. Być może

premiera Wielkiej Brytanii zainspirował prezydent Barack Obama, który nieco wcześniej, będąc na Uniwersytecie Queensland w Australii, nazwał działania Rosji na Ukrainie zagrożeniem dla całego świata i ustawił Rosję w jednym rzędzie z ebolą i Państwem Islamskim. Ta coraz ostrzejsza retoryka liderów zachodnich państw powinna budzić zaniepokojenie. Zamiast deeskalacji konfliktu mamy bowiem do czynienia z coraz bardziej gorącą sytuacją, na której sparzyć się mogą wszyscy.

JAŁOWE OBELGI

Historyczne analogie, które często wybrzmiewają w gorących, ale zasadniczo nieprzemyślanych czy wręcz infantylnych dyskusjach internetowych albo w zaangażowanej publicystyce, w przemówieniach polityków zamieniają się w tanią propagandę. I w pełni ukazują swoją śmieszność. Zwłaszcza jeśli chodzi o porównywanie rządzących innymi krajami do Adolfa Hitlera. Ta standardowa taktyka jest stosowana przez politycznych liderów od dziesięcioleci. I z każdym kolejnym rokiem brzmi coraz bardziej niepoważnie. Zaledwie jedenaście lat po II wojnie światowej, kiedy to generał Nasser znacjonalizował Kanał Sueski, ówczesny premier Wielkiej Brytanii Anthony Eden nazwał prezydenta Egiptu Hitlerem, a lider opozycji Hugh Gaitskell Mussolinim. Führerem lat 90. był zaś Slobodan Milosevic. Potem przyszła kolej na prezydenta Iranu Mahmouda Ahmadinejada, Saddama Husseina, który miał m.in. zbombardować Southampton, a ostatnio, przed Putinem, pułkownika Kadafiego. Te porównania za każdym razem brzmiały absurdalnie. Tym bardziej jeśli pamięta się, że w szczytowym punkcie militarno-politycznego szaleństwa, którego konsekwencją były inwazje na Irak i Afganistan, dla równowagi prezydent USA George W. Bush nazywany był Winstonem Churchillem.

Permanentne szafowanie porównaniami do przywódcy III Rzeszy w zależności od geopolitycznych układanek i planowanych militarnych operacji wywołuje efekt odwrotny do zamierzonego. Zamiast – jak chcą tego liderzy używający obelg jako broni – osadzać swoich przeciwników w roli politycznych diabłów,

szalonych, śmiertelnie niebezpiecznych dyktatorów, sami stają się współczesnymi Goebbelsami. A przecież można i należy ostro krytykować autokratów łamiących międzynarodowe prawo, standardy i umowy bez uciekania się do porównań z Hitlerem. W końcu między „demokratą przestrzegającym praw człowieka” a „totalitarnym władcą dokonującym masowego ludobójstwa z ambicjami podboju świata” jest całkiem spora przestrzeń. Tymczasem porównania do Führera, największego zbrodniarza w dziejach świata, zamykają wszelką dyskusję, demonizują przeciwników i zaostrzają sytuację. Niepotrzebnie. Dramat polega bowiem na tym, że – czy tego chcemy, czy nie – bez Rosji i samego Putina nie da się rozwiązać kryzysu na Ukrainie. III wojna światowa jest przecież nie do pomyślenia.

POD NAPIĘCIEM

Brutalna retoryka premiera Wielkiej Brytanii – trafiająca w czuły rosyjski punkt, kraju, który na wojnie z nazistami stracił 20 milionów ludzi – nie ma żadnego politycznego sensu. Wpisując się w rosnące na Zachodzie rusofobiczne nastroje, Cameron zamyka sobie drogę do racjonalnego dialogu i ewentualnego kompromisu. A sytuacja na wschodzie Europy staje się coraz bardziej napięta. Walki na Ukrainie nie ustają, proces pokojowy nie postępuje, zaś przyduszona gospodarczymi sankcjami Rosja wyciąga ostatnią możliwą kartę – militarnego asa z rękawa.

Niedawno opublikowany raport grupy doradczej European Leadership Network (ELN) pt. „Niebezpieczne konfrontacje. Incydenty wojskowe między Rosją a Zachodem w 2014 r.” wymienia 40 incydentów – „bliskich spotkań” sił NATO z siłami Rosji – w ciągu ostatnich 8 miesięcy – począwszy od niebezpiecznie bliskiego przelotu rosyjskiego myśliwca obok skandynawskiego samolotu pasażerskiego, a skończywszy na bardzo bliskim przelocie rosyjskich myśliwców nad kanadyjską fregatą. 3 z 40 opisywanych przez ELN incydentów zostały określone jako „mające wysokie prawdopodobieństwo wywołania szkód lub bezpośredniej konfrontacji militarnej”. Tylko w październiku

kraje NATO 12 razy musiały podrywać myśliwce, aby przypomnieć rosyjskim bombowcom, gdzie kończy się ich teren.

Ta jesień nad Bałtykiem jest w ogóle wyjątkowo niespokojna. Według danych Sojuszu Północnoatlantyckiego, który wziął na siebie m.in. obronę przestrzeni powietrznej krajów nadbałtyckich, obecne nasilenie powietrznych i morskich incydentów przez Rosjan nie ma precedensu od zakończenia zimnej wojny. Od marca w litewskiej strefie było ich już ponad 70, w przypadku Łotwy – prawie 160. Tymczasem rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu oznajmił, że planuje zwiększyć zasięg patroli bombowców aż do obszaru Zatoki Meksykańskiej. Wydaje się, że dziś gra nie toczy się już tylko o nieszczęsną Ukrainę, ale o ustanowienie nowego ładu światowego. Poustawianie geopolitycznych klocków. Coraz głośniej mówi o tym sam Putin, domagając się zakończenia amerykańskiego dyktatu. W zeszłym miesiącu podczas panelu dyskusyjnego z zagranicznymi dziennikarzami zorganizowanego niedaleko Soczi prezydent Rosji apelował o nowy system globalnych zasad. I powtórzył to później w głośnym wywiadzie dla niemieckiej stacji ARD.

„Harmonizacja relacji globalnych”, o której mówi Putin, nie jest pomysłem pozbawionym sensu. W świecie, w którym rolę przywódcy pełni jedno państwo – obecnie USA – zachwiany jest porządek. Supremacja Zachodu, zwłaszcza w ostatnich piętnastu latach, przyniosła więcej szkody niż korzyści. Mimo że oligarchiczny nacjonalizm Putina nie ma na szczęście większego wzięcia na świecie, przez wiele krajów, takich jak Brazylia, RPA czy Indie, Rosja jest jednak postrzegana jako siła mogąca być realną przeciwwagą dla militarnych szaleństw Stanów Zjednoczonych. Dlatego też przywódcy zachodni, zamiast porównywać Putina do Hitlera, powinni postawić na dialog i kooperację. Wymaga tego globalna racja stanu.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)